

Polowanie na żonę



MICHAŁ BAŁUCKI

Polowanie na żonę

I. WIELKI WIECZÓR POŻEGNALNY U PAŃSTWA RZEP-SKICH

Było to w pięknym miesiącu Maju, a mianowicie w dzień świętej Zofii, patronki pani Rzepskiej, która była małżonką pana Rzepskiego, radcy sądowego, od lat dziesięciu. Dziesięć lat temu — właśnie w ten sam dzień, — pani Zofija oddała z pełnym zaufaniem w ręce nieletniego już pana radcy wzgardzone przez innych panieństwo swoje i od tamtej chwili aż dotąd dochowywała mu z nieposzlakowaną czystością wiary małżeńskiej, do czego bardzo jej pomagało nie zbyt powabne jej oblicze i wszelki brak pokus ze strony płci męskiej. Małżeństwa tego Opatrzność nie pobłogosławiła, czyli mówiąc językiem świeckim, pani Zofija pomimo zachęcającego przykładu ze strony patronki swojej — nie miała potomstwa, o co jednak nie należałoby może winić wyłącznie Opatrzności, jak to czynił bezbożnie pan radca. — Zresztą, oprócz tego małego niepowodzenia, małżeństwu owemu powodziło się wcale dobrze.

Otóż na uczczenie tego nieposzlakowanego i szczęśliwego małżeńskiego pożycia, na uczczenie rocznicy ślubu i imienin, a nadto na pożegnanie małżonki swojej mającej wyjechać do kąpiel krajowych, pan Rzepski za namową żony swojej postanowił wydać wielki wieczór pożegnalny.

Tu dla uspokojenia nerwowych czytelniczek i usunięcia obaw względem stanu zdrowia szanownej radczyni, muszę powiedzieć, że właściwą chorobą, która ją zmuszała do wyjazdu do kąpiel, było siedm sukien. Dla wyjaśnienia tego chorobliwego stanu trzeba nam wiedzieć, że szciodra natura obdarzyła panią Zofię aż siedmioma ciociami, a każda z tych cioc czy tam ciociów, w sekrecie przed drugą przygotowując solenizantce na ten uroczysty dzień, jakąś niespodziankę; wskutek podobieństwa gustu rodzinnego przygotowała jej suknię, i pani Zofija na kilka dni przed imieninami otrzymała w prezencie od siedmiu cioc z siedmiu stron siedm sukien, w siedmiu kolorach. Prezenta te sprawiły obok przyjemności nie mały kłopot solenizantce. Co zrobić z tą całą tęczą kolorów? zachować w szafie? wyjdą z mody. Zadziwiać niemi mieszkanki gubernialnego miasteczka? to wydawało się jej za małym tryumfem. Wielki świat małego miasteczka wydawał się pani radczyni za małym do podziwienia tych arcydzieł kunsztu krawieckiego. Z tego powodu pani radczyni poczęła się trapić, straciła sen, apetyt, kolory, humor, słowem zachorowała na siedm sukni. Wezwany na konsylium miejscowy lekarz, który znał wszystkie słabości pani radczyni i znakomicie leczyć je umiał, zdecydował, że jedynie kąpiele zdolne są pomódz pani radczyni na jej dolegliwości i to tylko kąpiele krajowe, które są zarazem wystawą sukien i toalet. Zawiadomiony o tem postanowieniu lekarskim mąż, przed którym rozumie się zatajono istotny powód choroby, zgodził się lubo z wielką boleścią na rozstanie się na czas jakiś z najdroższą połowicą swoją i na uczczenie jej a zarazem wyrażenie żalu swego postanowionym został ów wielki wieczór, o którym wspomnieliśmy na początku tego rozdziału.

Pospraszano co było dostojniejszego w mieście jako to: pana burmistrza wraz z korulentną magnifiką jego; pana prezesa sądu bez żony, przeważnie z tego powodu, że jej nie miał; panią hrabinę Rzeszowską mieszkającą tu dla dewocyi z nieodstępnym jej Filusiem, którego prosię nie uważać przez pomyłkę za syna pani hrabiny, bo ten nazywał się Felisiem i praktykował w zawodzie dyplomatyczno-katolickim w Rzymie. Następnie zaproszono właścicielki córek celem zaopatrzenia salonu w tancerki, jako też złotą młodzież

powiatową reprezentowaną tutaj przez urzędnika towarzystwa asekuracyjnego, wielkiego eleganta i tancerza — przez pewnego emigranta młodego i wcale przystojnego człowieka, który w wczesnym już wieku zmuszony był emigrować ze szkół powiatowych do Warszawy, a stamtąd w skutek długów uciec znowu w charakterze emigranta na prowincję; — a na koniec przez barona Rumpell już niepierwszej młodości kawalera, którego głównym zajęciem było poszukiwanie szlacheckich metalów w okolicy i eksploataowanie takich za pomocą związków małżeńskich. Dotąd przedsiębiorstwo to pomimo licznych nakładów za strony barona nieopłacało się i gdziekolwiek baron uderzył i począł dobywać się do złotych min, wydobywał zawsze tylko kosze. — Kolekcja tych koszy, gdyby baron chciał z nich zrobić wystawę, byłaby bardzo zajmująca; były tam bowiem i koszyki z mirtami i szlacheckie i mieszczańskimi rączkami plecione a nawet jeden koszyk izraelskiego pochodzenia, gdyż pan baron był zasad demokratycznych, postępowych i różnica stanów wcale go nie odstraszała od posagów.

Pomimo tych zasad i usiłowań pan baron nie mógł korzystnie spieniężyć swego nazwiska i stanu kawalerskiego a bezowocnymi usiłowaniami swemi zyskał sobie tylko przydomek nieustającego kawalera. Był jednak chętnie widziany w każdym salonie raz dla sławy, jaką sobie zjednał w okolicy przez niezmordowane konkury, a powtóre, że był pełen dobrych manier, wyrażał się dobrym akcentem francuskim, dla którego to powodu konwersacja z nim była bardzo pożądaną, bo była niejako dokończeniem edukacji dla okolicznych pańien. Oprócz tego baron wiedział dużo nowinek, trzymał jeden dziennik niemiecki, czem niesłychanie imponował szlachcie a nawet Żydom i reprezentował najświeższą modę, czem znowu do desperacji przyprowadzał urzędnika od asekuracji, który miał także pewne pretensje do elegancji, a którego jednak baron zawsze na tym punkcie pobijał w opinii publicznej.

Ale to już nie należy do rzeczy — wróćmy na wieczór do państwa Rzepkich. Otóż wieczór ten rozpoczął się o dziewiątej w ten sposób, że do salonu rzęsiście oświeconego weszła ze swego pokoju pani Rzepka w jednej z owych siedmiu sukien, a mianowicie w sukni koloru pomarańczowego i zastała tam już zacnego małżonka swego we fraku, sprawionym umyślnie na tę uroczystość, a że kołnierz był nieco za wysoki a rękawy za długie — z dostojnej osoby radcy ledwie okulary, łysinę i końce palców widać było i to w tak małych dozach, że pani Rzepka wszedłszy na salę nie domyśliła się całkiem obecności męża w głębi fraka i zapytała: a gdzie mój mąż?

Pytanie to skierowaniem było do panny Pelagii nie młodej już, nie ładnej, ale poczciwej i potulnej, która dla decorum miała towarzyszyć pani Rzepkiej do kąpiel. Panna Pelagia zapytana o radcę wskazała na frak obok niej stojący, z którego biedny pan Rzepski o ile mógł wychylił się, aby o ile możliwości uwidocznic się w oczach drogiej małżonki swojej. Po wzajemnym skonfrontowaniu się i wyrażeniu jeszcze raz życzeń przez pana radcę — wszystko troje usiadło w pustym salonie i czekało na przyjście gości, a czekanie to trwało blisko dwie godziny, w którym to czasie wewnątrz salonu wypełniło się powoli najdoborowszemi okazami płci męskiej. Płć nadobna jednak jeszcze się nie pokazała. Przyczyną tego było to, że żadna z dam miasteczka nie chcąc uchybić tytułowi męża i własnej próżności, nie mogła się zdecydować być pierwszą. Wszystkie te damy w pełnym rynsztunku balowym oczekiwały w domach swoich z niecierpliwością telegraficznych depesz swych pokojówek, które wysłane zostały na zwiady przed dom radcostwa dla wymiarkowania sytuacji. Te wzajemne oczekiwania byłyby trwały Bóg wie jak długo, gdyby nie doktor, który znając i pod tym względem chorobliwe usposobienie swoich pacjentek, wysunął się z salonu na schody między czatujące pokojówki i każdej z nich szepnął na ucho: „idź powiedz pani, że pani może przyjechać, bo salon już pełny.” — Dzięki temu manewrowi doktorskiemu popartemu tringeldami dla usługnych pokojówek, wpół godziny salon u państwa radcostwa był pełny jedwabi, tarlatanów, szepców, strojów, obmowy, rumianych twarzyczek, wesołych śmiechów, fraków, spojrzeń etc. etc. Poważne damy obsiadły gęsto kanapy, gniotły się jak mogły, byle tylko nie ubliżyć swojej godności i nie być zdegradowanymi na fotel. Panowie starsi zstawiali się na boku na preferans i wista, a młodzież naciągając mankiety, nurzając brody w obróżki ze stojących angielskich kołnierzyków lub bawiąc się łańcuszkami od zegarków, szykowała się do angażowania pańien, które ściany w około były udekorowane.

Wszystkie jednak te pragnienia wstrzymywane być musiały czas jakiś na wodzy przez grzeczność i uszanowanie dla pani burmistrzowej, która czułaby się w wysokim stopniu obrażoną, gdyby przed rozpoczęciem zabawy nie proszono jęj usilnie o śpiew. Była to słaba strona pani burmistrzowej, którą uwzględniano na wszystkich mniejszych i większych wieczorkach gubernialnego miasta i gospodyni idąc za przyjętym w tym względie zwyczajem, przypuściła szturm do pani burmistrzowej wraz z całą młodzieżą, prosząc usilnie o uraczenie towarzystwa jaką aryą. Pani burmistrzowa znowu, także według przyjętego przez siebie regulaminu, poczęła się wymawiać niedyspozycyą, chrypką, katarem etc.; aż w końcu pokonana wymownemi prośbami dała się poprowadzić w tryumfie baronowi Rumpell do fortepianu i zanuciła *il bacio!* Nie było jednęj pary uszów w całym mieście, którym by ta pieśń nie dała się wielokrotnie we znaki; pani burmistrzowa bowiem śpiewała ją na każdym wieczorze, w domu i za domem i na każdym miejscu. Ile kroć woźny magistracki wdziewał liberyą i obchodził miasto z biletami zapraszającemi na wieczór muzyczny i herbatę — każdy zaproszony był z góry przygotowany, że herbaty będzie bardzo mało i to z zimną przekąską; ale za to muzyki obficie, dużo — a wśród muzyki nieśmiertelne *il bacio!* Pani burmistrzowa śpiewała je z przejęciem, otwarte jęj usta z utęsknieniem wołały o pocałunek, którego to jednak pragnienia nikt z obecnych nie byłby się ośmielił zaspokoić, choćby ze względu na samego pana burmistrza, który jednak jak mówiono, nie bardzo chętnie korzystał z przysługującego mu prawa i głuchym zwykle był na rozpaczne wołania swęj połowicy o *il bacio!*

Skończyło się nakoniec owo nieśmiertelne *il bacio*; pani burmistrzowa wśród grzmotu oklasków i pochwał wróciła na swoje miejsce na kanapie eskortowana przez barona Rumpell; panowie starsi zrejterowali do zielonych stolików, a młodzież zbliżyła się do pannen. Urzędnik od asekuracyi, któremu zwykle dawano jeneralną komendę nad nogami i muzyką, wystąpił na środek i do orkiestry składającęj się z pięciu muzykantów wyznania mojżeszowego odezwał się z powagą:

— Walc.

Potem zmierzwszy okiem znawcy cały zastęę panieński zbliżył się do córki poczmistrza i rzekł: służę pani.

Za urzędnikiem stanął baron Rumpell z panną Liwską, mającą sperandę na niezłą fortunę po najdłuższęj śmierci cici. Pan baron w braku pewniejszych partyj assekurował się zwykle w sercu panny Liwskieję. Za baronem stanął przystojny emigrant z Lucynką Apfelbaum, córką właściciela galanteryjnego sklepu, za tymi inni z innemi i puszczone się w taniec.

Tylko panna Pelagia nieboraczka siedziała pod ścianą z założonemi rękami, zmuszona poprzestać na przypatrywaniu się skoczny m parom. Pani radczyni zajęta gośćmi i pomarańczową suknią zapomniiała całkiem o nięj, pan radca także, spełniający funkcję gospodarza i zmuszający gości do kieliszków przykładem, nie miał czasu myśleć o kuzynce.

Po walcu roznoszone limonadę. Panna Pelagia nie tyle dla ochłodzenia się, ile dla zabicia czasu wzięła także szklaneczkę w rękę i bawiła się nią popijając od czasu do czasu. Wtem na środku znowu pojawił się mistrz tańców i zapowiedział kadryla. Stanęły pary w szyku bojowym, urzędnik assekuracyjny jak jenerał uwijał się wśród kolumn ścieśnionych, rzucając głośną komendę, a panna Pelagia jak siedziała tak siedziała, tym razem już ze szklanką w rękę.

Dopiero podczas mazura pan radca wracając już niebardzo pewnym krokiem do sali zwrócił na nią uwagę i spytał:

— A cóż ty Pelciu nie tańczysz?

— Jak wujaszek widzi — odrzekła z uśmiechem.

— I czemuż?

— Dla bardzo prostęj przyczyny, bo mnie nikt nie prosi.

— Czekał, zaraz ci się postaram o tancerza.

Obejrzał się w koło a widząc barona siedzącego poważnie pod oknem zbliżył się do niego rzekł:

— A to co? pan odpoczywa? a pfe, a nie ładnie. A któż będzie tańczył, jeżeli wy młodzi będziecie siedzieć?

— Baron uśmiechnął się — epitet *młodzi* pogłaskał go po sercu, zapomniiał o łysinie i czterdziestce i rzekł:

— Zabrakło dla mnie damy, panie radco.
 — Wolne żarty. Baron narzeka na brak dam — komu to mówić! A ta pod lustrem. Baron się skrzywił.
 — Ta? — rzekł. — Panie radco jesteś złośliwy, częstujesz mnie antykami. Któż to jest?
 — To moja kuzynka Pelcia Naworska.
 — A, to przepraszam.
 — Nic nie szkodzi. Wiem, że ona sama o to by się nie zgniewała, bo nie ma wcale pretensyj do piękności. Brzydka, bo brzydka, ale za to panie dobrodzieju — ma. —
 Nie dokończył, bo żona go właśnie w tej chwili odwołała. Ale baronowi wystarczyło to słówko *ma*, resztę dorobiła jego żywa wyobraźnia.
 — Ma pieniądze — pomyślał sobie i spojrzął pod lustro. Panna Pelagia wydawała mu się tym razem wcale niczego, znalazł ją nawet bardzo miłą. W tym samym czasie pani radczyni, którą emigrant poprosił do figury mazurowej, przypomniał sobie o kuzynce, rzekła się tej przyjemności na jej rachunek i poprosiła tancerza, by ją wybrał. Przez to się stało, że równocześnie prawie emigrant i baron stanęli przed zdziwioną Pelagiją.
 — Czy mogę — spytał baron.
 — Proszę — zawołał emigrant i nieczekając na decyzję panny wyciągnął rękę i porwał ją w taniec.
 — I on już wie o pieniądzech, źle — pomyślał sobie baron — inaczej nie byłby z nią tańczył.
 — Baron z nią chciał tańczyć — myślał sobie emigrant wywijając hołupce z Pelagiją, w tem coś jest. Zdaje się, że baron musi tu wachać grube pieniądze; on ma dobry nos na takie rzeczy.
 Ta uwaga skłoniła go, że poprosił natychmiast Pelagię do następnego mazura. Emigrant był bowiem antagonistą i współzawodnikiem barona w wyścigach matrymonijalnych, tym niebezpieczniejszym, że był o wiele młodszym i przystojniejszym od barona.
 Ledwie Pelagija usiadła na swoim miejscu, wnet zjawił się baron z melancholicznym wyrazem na twarzy i usiadłszy obok niej odezwał się:
 — Nie uwierzy pani ile mnie to zmartwiło, że przy pierwszym zbliżeniu się do pani otrzymałem jakby to powiedzieć —
 — Koszyk — rzekła Pelagia z otwartością i swobodą, która była jej właściwą.
 — Niech tak będzie, jeśli się pani to tak nazwać podoba.
 — Ależ pan, panie baronie, powinieneś się już był oswoić z koszykami — rzekła Pelagija wesoło.
 Baron połknął tę pigułkę i pomyślał sobie w duszy:
 — Teraz przysiągłbym, że ma grube pieniądze. Panny bez posagu nie bywają takie rezolutne.
 Biedny baron tak był przyzwyczajony do koszyków od posażnych panien, że teraz na pewniaka w każdym koszyku wietrzył posag. Z respektu więc przed tym posagiem połknął złośliwy żarcik Pelagii i udając fantazyję rzekł:
 — Są rzeczy, do których się nigdy przyzwyczać nie możemy. Do tych należą te — tak nazwane przez panią koszyczki. — Najlepszym tego dowodem jest to, że niezrażony pierwszym niepowodzeniem przychodzę prosić panią do drugiego mazura.
 — Już tańczę.
 — Już?
 Baron się zmięszał. Nie na rękę mu to było, że ktoś inny już go uprzedził w podbie-raniu się do złotej żyły, na którą zdawało mu się przedtem, że sam jeden natrafił.
 — I któż jest tym szczęśliwym? — spytał z niesmakiem i źle tajoną zazdrością.
 — Ten pan, który przed chwilą mnie wybrał do mazura.
 — H! Pan Eustachy. — Pani go zna?
 — A skąd? Pierwszy raz dziś go widzę.
 — Radzę pani jako przyjaciel domu postępować ostrożnie z tym panem.
 — Czy może źle tańczy?
 — Nie, ale to człowiek lekkomyślny i nie dający żadnej gwarancyi.
 — Gwarancyi — do czego?

— Jak Boga kocham ma pieniądze — pomyślał sobie w duszy baron — bo umie udawać, że nie rozumie. Panny bez posagu rozumieją już pierwój, za nim się im coś powie.

Tak rozumował baronek Rumpell i wskutek tego rozumowania, opartego na długim doświadczeniu, postanowił osłabić nieco natarczywość ataku, by sobie panny nie zrażać i spytał ze słodkim poddaniem się zafarbowanem smutkiem:

- Więc pani nie ma dla mnie żadnego taneczka?
- Owszem, tego nie mówiłam.
- A więc może drugi kadryl — pochwycił skwapliwie.
- Dobrze.

Twarz barona rozjaśniła się. Kadryl to jak raz taniec do poczynienia dyplomatycznych kroków, które w walcu skończyć się mogą zwycięstwem i wieczystym pokojem. Mazur w matrymonialnych kampaniach barona pokazał się bardzo niepraktycznym; a raz nawet skompromitował go, gdy bowiem oświadczając się jednej panie spytał się po cichu miękim, słodkim głosem — czy chcesz pani ze mną znosić... „Krzyż” zawołał głośno komendant mazurów „panowie krzyż”, a panna zaczęła się śmiać tak gwałtownie, że ledwie spazmów nie dostała. Dlatego baron wcale nie zazdrościł pięknemu Eustachemu mazura i z zadowoleniem robił w głowie próby do dyalogu przy kadrylu. Tymczasem pan Eustachy, którego manewra barona utwierdziły w pierwotnym domyśle i mocno niepokoić zaczęły, chcąc go zdemaskować i ośmieszyć w oczach wszystkich, tajemnie podszeptował młodzieży, że to leży w jej interesie, aby nie pozwoliła, iżby jeden tylko baron miał wyłączny przywilej na obtańcowywanie posażnych panien i zachęcał, by ją odbito. Pan Eustachy chciał w ten sposób dobyć się do kasztanów nie parząc sobie palców. Wiadomość o posagu lotem błyskawicy rozeszła się między młodzieżą i panna Pelagija była w formalnym oblężeniu. Ten prosił do polki, ten do walca, ów do mazura, inny do trotezy do pierwszej, drugiej a nawet do siódmej *toury*, a że tańczyła doskonale więc młodzież nie miała słów na wychwalanie jej. Jak lekko tańczy, jaka gracyjna w tańcu, a jaki humor, jaka wesołość i przytomność, jaki przy tem szyk i imponująca postawa. O twarzy zamilczano przez prostą grzeczność dla posagu.

Pan radca widząc takie szalone powodzenie kuzynki zwrócił na to uwagę żony i odezwał się:

— Patrzajno Zosiu, jakie Pelcia ma szczęście. A! toż formalnie rozbijają się o nią. — A to ja jej się tak przysłużyłem, poprosiłem barona...

- Przepraszam cię, bo to ja poprosiłam pana Eustachego.
- Ależ jak cię kocham tak baron. —
- A ja ci powiadam, że Eustachy. —
- Jak szczęścia twego pragnę tak baron.
- Jak cię kocham tak Eustachy.

Radca ze względu na uroczystość dnia postanowił ustąpić swęj połowicy, choć był przekonany jak najmocniej o swoich zasługach odnośnie do szczęścia Pelagii i zakonkludował:

— W każdym razie jest to ze strony tych panów wielki takt i uczczenie naszego domu, że panienka ani ładna, ani młoda, ani bogata, ma takie szczęście przed innemi dlatego tylko, że jest naszą kuzynką.

To przeświadczenie o uczczeniu domu zaprowadziło pana Radcę do kredensu, z kądem wyszedł niebawem prowadząc za sobą lokaja z tacą gęsto zastawioną kieliszkami z winem.

— No, panowie na ochłodzenie — mówił zadowolony animując do picia słowem i przykładem.

— Zdrowie panny Pelagii — zawołał jeden z podochoconych biorąc z zapalem kieliszek.

— Niech żyje, niech żyje! powtórzono chórem.

Panna Pelagija z radości uściśnęła panią radczynię, przy której właśnie usiadła i rzekła:

— Ach ciociu, ubawiłam się dziś za wszystkie smutne lata mego panieństwa. Wszystkie starsze panny powinny tu zjeżdżać na zabawę i koloniję tu założyć.

— Widzisz nasz dom — odezwała się poważnie pani radczyni i chciała coś dalej mówić na temat zaintonowany przez radcę, gdy całe grono męzkie z kieliszkami w ręku otoczyło ją i zawołało chórem:

— Zdrowie sollenizantki!

Twarz pani radczyny zakasowała teraz kolorem pomarańczową suknię. Wstawszy — mówię tu o całej pani radczynie, a nie o twarzy specjalnie — kłaniała się na wszystkie strony pełna zadowolenia, dumy i szczęścia.

Temperatura serdeczności coraz się wzmagala; wypito potem zdrowie radcy dobrodzieja, którego radość i wino tak rozmarzyło, że się chwia i kołysa, jakby stał na statku wśród burzy. A gdy jeszcze wypito za pomyślny powrót pani radczynie, pocziwy radca tak się rozserdecznił i rozbeczał, że go mokrego od potoku łez i potu wynieść musiano do sypialni.

Tak się zakończył ten uroczysty wieczór św. Zofii.

W trzy dni potem pani Zofija odprowadzona przez szczuplejsze już gronko znajomych i życzliwych udała się na dworzec kolei. — Tu rozstając się z mężem płakała, mdlała, że aż baron po krople trzeźwiące do apteki biegać musiał, a obecni temu aktowi czułości mężowie stawiali ją za przykład swym żonom i mówili: patrzcie! oto mi żona. Czem wyrządzali grubą niesprawiedliwość panu Rzepskiemu, który wprawdzie nie mdlał, ale beczał jak dziecko i łyż i krople potu hurtem zgarniał co chwila w fularową chustkę.

Za panną Pelagiją nikt otwarcie płakać się nie ośmielił; ale z głębokich i tęsknych spojrzeń pana Eustachego i barona, jakie rzucali w głąb wagonu na siedzącą tam pannę Pelagiją jasno poznać można było, że każdy z nich radby już był mieć od niej przywilój na publiczne wynurzenie swego żalu na podobieństwo pana radcy Rzepskiego.

II. WYPRAWA DWÓCH JAZONÓW PO JEDNO ZŁOTE RUNO

Nazajutrz rano po odejście pani radczynie, baron Rumpell siedział przy herbacie w wielkim negliżu i w wielkiem zamyśleniu i odbywał poufną konferencją ze swoją portmonetką, a mianowicie w kwestyi wyjazdu za panną Pelagiją. Nie mówiąc już o zdrowiu samego barona, które w gwałtownych gonitwach za rydwanem fortuny mocno już było nadwątłone i potrzebowało koniecznej reparacji; portmonetka pana barona jeszcze więcej potrzebowała dla wzmocnienia kuracji mineralnej i wód szczególnie takich, któreby w składzie swoim zawierały jak najwięcej nie żelaza, ale złota. Kąpiele więc krynickie wydawały się najodpowiedniejsze, bo w chemiczny ich skład oprócz żelaza, gazu węglowego etc. wchodził także posąg panny Pelagii. Konieczność podróży była widoczną, baron Rumpell bowiem wiedząc z doświadczenia na jakie liczne tentacye i pokusy i ataki wystawione są posażne panny w kąpielach, postanowił stanąć załogą w okolicach serca panny Pelagii i bronić przystępu każdemu nieprzyjacielowi, choćby ten był nawet jego osobistym przyjacielem. Że panna Pelagia mu sprzyja, o tem nie wątpił, ma na to niezbite dowody, bo najprzód tańczyła z nim kadryla, powtóre pozwoliła mu przez czas mazur trzymać swój wachlarz i chusteczkę, a po trzecie nie powiedziała mu żadnej grubszej niegrzeczności, na co pan baron w czasie swoich matrymonialnych ekskursyj często był narażony. Wyjazd więc był zdecydowany. Szło tylko o to: pro primo; czy osłabiona i wycieńczona portmonetka zdoła wytrzymać trudy a raczej wydatki długiej podróży i pobytu w kąpielach, a pro secundo: czy posąg panny Pelagii wart jest tych starań i zabiegów? Jakkolwiek małżeńskie nadzieje pana barona z każdym dniem spadały na giełdzie i był już bliskim stanu, w którym tonący brzytwy się chwyta; jednak instykt zachowawczy odstręczał go od tej ostateczności i wołałby w pannie Pelagii znaleźć coś lepszego niż brzytwę. W tem tylko był sęk, jak się dowiedzieć o tem. Radcy Rzepskiego zapytać nie wypadało, gotówby był w liście wypaplać przed swoją magnifiką, której się ze wszystkiego zwykle spowiadał, a to popsułoby mu zupełnie interesa wobec panny. Pan baron chciał wyszczerzyć się wobec niej miłością bezinteresowną. W tym celu napisał do jednego ze swoich znajomych, mieszkającego w Opoczyńskim, zkaąd właśnie była panna Pelagia, aby się dowiedział coś bliższego o jej stanie majątkowym. „Chcę wiedzieć o tem — pisał — dla tego, aby jeżeli majątek jej będzie zbyt wielki w proporcji do moich dochodów, cofnąć się z honorem i godnością, gdyż niechciałbym pomimo gorącego uczucia, jakie żywię dla tej ze wszech miar godnej miłości istoty, uwłaczać imieniowi, które noszę i dać powód ludziom do niegodnych posądzeń mnie o interesowność i ubieganie się za majątkiem.”

Ostatni ten frazes był klasą bezpieczeństwa gadatliwości owego znajomego, który mógłby był wygadać się przed kim o ciekawości pana barona. Że pan baron tego frazesu

nie pisał na seryo, o tem my wiemy najlepiej, którzy w tej chwili widzimy portmonetkę barona. Gdyby panna Pelagia miała majątek w proporcji do dochodów barona, biedny baron nietylko z tak skromnymi funduszami imienia swego do potomności przekazałby nie mógł, ale nawet sam je długo nosić nie byłby w stanie.

Po napisaniu wyżej wymienionego listu, pan baron Rumpell ubrał się i wyszedł prosto do biura paszportowego. Ale jakież było zdziwienie jego, kiedy wszedłszy tam zastał już pana Eustachego, konferującego z urzędnikiem także jak się zdaje względem uzyskania pasportu.

— A pan baron — odezwał się zmieszany Eustachy.

— Pan wyjeżdża gdzieś? — spytał baron podejrzliwie.

— Tak — do ciotki w Kaliskie — dawno jej nie odwiedzałem — a pan baron?

— Ja, tego — jak się nazywa — otrzymałem telegram od babki, że bardzo chora.

— Babka pańska zapewne bogata.

— To nie; ale bardzo dobra kobieta. Byłem jej ulubieńcem, więc pojmiesz pan, że wypada.

Rozmowę tę przerwał urzędnik, który pisząc rysopis barona zapytał głośno:

— Pan baron Rumpell — lat? —

— Jakto — lat? — spytał skonsternowany tem pytaniem baron.

— Wiele pan dobrodziej sobie lat liczy?

— Tak, mniej więcej koło trzydziestu — kilku. —

— To jest wiele?

A widząc, że pan baron z arytmetyką do ładu jakoś przyjść nie może, postanowił mu pomódz i spytał:

— W którym roku się pan rodziłeś?

— W trzydziestym drugim.

— Więc masz pan lat czterdzieści jeden — rzekł urzędnik pisząc.

— Ależ panie — zawołał zmieszany baron, który od jakiegoś czasu nie prowadził dokładnego rachunku lat — być nie może.

— A tak, tak — rzekł Eustachy — w trzydziestym drugim, to akurat czterdzieści jeden lat i coś — a nie myślałem, żeby pan baron był już w tych latach. Pan wyglądasz najwięcej na trzydzieści dziewięć.

— Dokąd pan wyjeżdżasz? — spytał urzędnik.

— Czy to koniecznie potrzebne?

— Tak. —

— Do Galicyi.

— Więc pańska babka mieszka w Galicyi?

— Tam przeniosła się biedaczka od lat kilku.

— A pan, panie Eustachy gdzie wyjeżdżasz? — spytał znowu urzędnik.

Teraz znowu emigrant zmieszał się i spiekl raka.

— Ja panie — do... do tego... jak się nazywa — do... do... Galicyi.

— Więc nie w Kaliskie? spytał go baron podejrzliwie.

— A nie, bo ciotka moja teraz wyjechała do kąpiel.

— Może do Krynicy.

— Nie, podobno do Iwonicza.

— Kłamię jak szewc — pomyślał sobie baron.

— Nie złapiesz mnie ty bratku. Wiem gdzie ta babka — pomyślał Eustachy — ale zjesz djabła, jeżeli ci się uda.

Urzędnik wręczył obom paszporta.

— No, szczęśliwej podróży panie baronie — odezwał się Eustachy zabierając się do wyjścia.

— Nawzajem — odrzekł baron.

Po wyjściu z biura pan Eustachy prowadził taki monolog:

— Przysięgłbym, że baronek zwietrzył posag; ale nic z tego kochasiu, wysadzę cię, jak z siodła. Panna Pelagia chybaby oczów nie miała, żeby taką ruinę przeniosła nademnie. Trzeba go tylko będzie uprzędzić. Jutro zaraz wyjeżdżam.

W kilka minut potem baron wychodząc z biura paszportowego tak rozumował:

— No, teraz o majątku panny Pelagii ani wątpić. — Eustachy musi wiedzieć coś pewnego, skoro się tak rąco bierze do rzeczy. Nie dajmy mu się uprzedzić. — Jutro zaraz w drogę, zwłaszcza, że po jutrze mam termin wypłaty weksłu. — Nie głupim czekać. — Zapłacę z powrotem z posagu najdroższej Pelci. — Spodziewam się, że kiedy jej przyjdzie wybierać między mną i Eustachym, ani się namyślać nie będzie. — Eustachy człowiek bez pozycyi towarzyskiej, bez imienia — a ja baron Rumpell. — To inaczej brzmi.

Wieczorem tego dnia baron pakował się do podróży. Ponieważ cały majątek barona mieścił się w dwóch kuferkach i baron miał już w tym względzie niepoślednią wprawę, gdyż nie raz przychodziło mu zbierać manatki i przedsiębrać wyprawę podobną; przeto pakowanie nie zajęło dużo czasu, choć kufer barona pod względem różnorodności przedmiotów przedstawiał doskonały okaz przenoszalnego magazynu. Było tam wszystkiego po trosze jak w norymberskim sklepie: i woda kolońska i wiksatuar na wąsy i pomady i szczoteczki, układane według skali trwałości i anatherinowa woda i grzebyki i grzebyczki różnej wielkości i gęstości i płyn do farbowania włosów i szczypczyki do wrywania włosów i pilnik do paznogi i brzytwa i lusterka i różne garnitury spinek i wykluwaczka do zębów i ustensylia piśmienne i kapelusz składany i tuzin rękawiczek i różne welniane i bawełniane i płócienne części toalety i korki do bucików — słowem, co tylko cywilizacja wymyśliła dla wygody i upiększenia mizernego ciała ludzkiego, to wszystko konkurent specjalista woził ze sobą. Brak nieruchomości baronek zastępował licznymi ruchomościami. Wszystko to w systematycznym porządku zostało ułożone i o godzinie dwónastej w nocy baron zatrzasnął wieko kuferka.

Teraz następowało przygotowanie utensyliów podróжных mających się mieścić po za granicami kuferka. — Prym tu trzymała torebka podróżna, w której w miniaturze było znowu wszystko prawie to, co zawierał kufer, a więc znowu woda kolońska, szczoteczka do zębów, grzebyki etc. etc. — tylko w mniejszych rozmiarach. Potem szła lornetka teatralna zawieszona na czarnych rzemykach; potem porte-cygar na żółtych rzemykach, — plaid na paskach, parasol w czarnym futerale, cylinder także w czarnym futerale, pudełko na zapalki, cygarniczka, *pince-nez*, kilka książeczek biblioteczki kolejowej, zawierających bardzo pikantne i interesujące powiastki, służące dla rozerwania barona podczas drogi i almanach gotajski, który trzymał w ręku, gdy nie był sam w wagonie. Wszystkie te wyżej wymienione i niewymienione przedmioty stanowiły arsenał naszego bohatera, z którego stosownie do okoliczności dobierał broni dla zdobycia sobie w świecie opinii człowieka z szykiem, elegancją i komfortem, a tem samem do zdobycia sobie szturmem żony z posagiem, albo raczej posagu ze żoną.

Załatwiwszy się z temi przygotowaniami baron usnął pełen błogich nadziei i wiary w przyszłość. Sen miał cudowny, śniło mu się, że panna Pelagija mówiła mu: ty. — Rozkoszny ten sen o mało nie był przyczyną spóźnienia się na pociąg; kiedy bowiem baron nazajutrz zajeżdżał na dworzec, było już po drugim dzwonieniu. Zaledwie miał czas kupić bilet, i wpadł do wagonu i pociąg ruszył. Ochłonawszy z pośpiechu baron rozpatrzył się już spokojny około siebie i o cudo — zobaczył tuż przed sobą siedzącego pana Eustachego, który paląc cygaro przypatrywał mu się z bardzo ironiczną miną.

— A pan Eustachy — jakże mi miło.

— Ciesz się mnie, że będę miał przyjemność być w towarzystwie pana barona — odrzekł tenże.

Baron aż poczerwieniał z oburzenia. Teraz zrozumiał, że są chwile, w których człowiek może się stać zbrodniarzem. Bo gdyby nie wspomnienie kodeksu karnego i gdyby nie to, że pan baron nigdy nie ćwiczył się w odwadze ani cywilnej ani wojskowej; — w tej chwili pan Eustachy mógłby obawiać się o swoje życie. Baron dałby wiele za to, żeby mógł jakimkolwiek, choć mniej dozwolonym sposobem, pozbyć się natrętnego rywala. Każda myśl nieszczęśliwego barona była tego rodzaju, że go kwalifikowała do domu kary na kilkanaście lat więzienia.

Na szczęście wejście jakiejś damy w najbliższej stacyi, przerwało ten szereg zbrodniczych myśli. Dama była młodą, przystojną i rezolutną, a jak się potem pokazało — wdówka, a jak się później jeszcze pokazało, znajoma pana Eustachego jeszcze z lat dziecińczych. Z tego powodu zawiązała się żywa rozmowa; z której pan Eustachy dowiedział się, że jego znajoma wyszła była za mąż przed rokiem za jakiegoś starego paralityka, że ten paralityk przywiązał się do niej bardzo i zapewne w skutek tego przywiązania był tak

grzecznym, że skrócił jej jak mógł najprędzej niewolę małżeńską przenosząc się na tamten świat, — że była w Warszawie u adwokata dla załatwienia sprawy spadkowej i teraz wraca do siebie na wieś — w Olkuskie. Następnie poczęli sobie wzajem przypominać różne epizody z czasów swojej młodości, które były bardzo ciekawe, a których jak się pokazało było tak wiele, że kiedy dojechali do Zawiercia, gdzie dama miała wysiąść — ani połowy ich niewyczerpali — i pan Eustachy rozpromieniony, szczęśliwy, zapomniawszy, nie tylko o pannie Pelagii, ale o swoich długach, o swoim rywalu i o całym świecie, ofiarował się młodej wdowie odprowadzić ją do jej majątku tj. raczej do jej wioski dla dokończenia wspomnień młodości. Młoda dama nie była od tego i pan baron prędzej, niż się spodziewał, pozbył się niebezpiecznego rywala. Pożegnanie w Zawierciu dwóch znajomych było pełne nieudanej serdeczności, zdawało się, że baron zdusi w uściskach z radości pana Eustachego i z całego serca życzył mu wszelkiej pomyślności i szczęśliwej podróży, czego także ze swej strony nie zaniedbał zrobić pan Eustachy.

Post nebula febus — po dręczących myślach odetchnął teraz swobodnie nasz baron, czoło mu się rozjaśniło, rozsiadł się wygodnie w wagonie jak tryumfator i dobył z kieszeni jedną z pikantnych i interesujących książeczek. — Ale nie długo czytał, bo więcej pikantne i interesujące myśli snuły mu się po głowie z okazji przyszłego ożenienia swego.

— Jak szczęśliwą może nazwać się Pelagija, myślał sobie, że ją niebo uchroniło od tego wietrznika lekomyślnego. Co za przyszłość mogła ją z nim czekać, kiedy już teraz przed ślubem dla pierwszej lepszej spotkanej na drodze, tak łatwo się sprzeniewierzył? Gdzie tu charakter, gdzie tu stałość, gdzie tu serce?

Stawiając te ostatnie pytania miał widocznie siebie na myśli. On bowiem uchronił się od pokus, umiał je zwalczyć (co mu tem łatwiej przyszło, że wdówka nie okazywała jakoś wielkiej skłonności do sprowadzenia go z prawej drogi) — i nieposzlakowaną miłość niósł w ofierze wybranej swojej. Tak się czuł dumnym tą wysoką moralnością swoją, tak uwierzył w czystość swoich zamiarów, że byłby przysiągł, że to pierwsza i ostatnia jego miłość i niedziwiłoby go wcale gdyby panna Pelagija postanowiła teraz suszyć piątki i soboty na podziękowanie Panu Bogu, że ją obdarzył mężem tak nieskazitelnych obyczajów i bezinteresownego przywiązania.

Wśród tych rozmyślań dojechał do granicy. Tu zaszła mała przeszkoda, która omal, że nieprzerwała jego podróży. Każdy inny na jego miejscu uważałby to był za zły znak i wrócił się, ale pan baron nie wierzył w przeznaczenie; on wierzył w opatrność i miał silne przekonanie, że ta opatrność nie pozwoli marnie zaginać szlachetnemu imieniowi baronów Rumpell. Przeszkoda zaś była tego rodzaju, że urzędnik na komorze nie chciał go puścić znalazłszy, że rysopis paszportowy nie całkiem się zgadzał. A mianowicie: w paszporcie stało: włosy czarne, a pan baron, który dziś rano w pośpiechu zapomniał się być ucharakteryzować na bruneta, był rudy. Następnie w rysopisie urzędnik czy przez zbytnią gorliwość, czy przez złośliwość w rubryce: znaki szczególne, napisał: łysy, a łysiny tej na komorze wraz z panem baronem nie było. Z tego powodu urzędnik nie chciał przepuścić pana barona; ale ten wzięwszy go do osobnego pokoju po zdemaskowaniu się i odkryciu mu niektórych sekretów swojej toalety zdołał go przekonać, że rysopis całkiem się zgadzał z rzeczywistością.

Po tem nie bardzo miłym intermezo, z którego nie bardzo był kontent nasz bohater, gdyż o ile mógł wnosić z dwóznaczących uśmiechów współjadących, urzędnik nie umiał dochować powierzonej sobie tajemnicy, — reszta drogi przeszła bez przygód i burzy i pan baron Rumpell z rozwiniętymi żaglami nadziei dopływał do Kolchidy — chciałem powiedzieć do Krynicy.

III. W JAKI SPOSÓB PAN BARON Z MIŁOŚCI STAŁ SIĘ NAJPRZÓD ULTRAMONTANEM A POTEM ATEUSZEM

Krynica, jak wiadomo oprócz kwasu węglowego i wiele innych kwasów nieodłącznych od naszych krajowych kąpiel, zawiera znaczną ilość żelaza, którem przeważnie restaurują się nadwątlone budynki niewieście. Co się tyczy złota i innych szlachetnych minerałów jako to srebra, listów zastawnych, akcyj kolejowych — te znajdują się tutaj w małej stosunkowo ilości i trudność poszukiwania ich jest niesłychaną. Najbieglejszych minierów oszukać mogą ludzkie pozory. Zdarzało się bowiem niejednemu z tych panów, że opierając się na

znany socjalno-geologiczny pewnik, że tam gdzie pojawia się najwięcej brylantów, jedwabiów, aksamitów, i złota najwięcej być musi — począł z odwagą kopać a dokopawszy się z trudem do serca i ręki znalazł zamiast miny złotej, brodatego izraelitę z wekslem, który za koronki i aksamity i fałszywe brylanty płacić mu kazał.

Doświadczeni są już na tem i najczęściej szukają pokładów szlachetnego metalu w niepokazanych miejscowościach pod skromnym perkalikiem i ciemną wełnianą sukienką, na odległych spacerach, koło figury Matki boskiej, na Słotwince etc. Lubo i tu nie można mieć pewności zupełnej i tu często rutyna trafi na rutynę, jeden z najbieglejszych mineralogów kąpielowych złapał się w ten sposób okropnie, bo dobierając się trzy lata do skarbu znalazł po ślubie w wertheimowskiej kasie rachunki pana Seiferta, Schwarza etc. i kilka akcji kolei czerniowieckiej; czem oburzony seperował się i dziś odwiedzając Krynicy w charakterze nieszczęśliwego wdowca zawiązał skandaliczne romanse z kilkoma powszechnie znanymi damami a mianowicie damą pikową, treflową, karową i kierową.

Wypadek ten zrobił innych nadzwyczaj ostrożnymi i dziś tylko w ostateczności tak np. jak nieprzymierzając pan baron Rumpell, udaje się plec męska po złoto do Krynicy. Więcej ich jedzie dla zabawy — a ten rodzaj rekrutuje się przeważnie ze skończonych gimnazjalistów, którzy tu w braku lepszych okazów płci męskiej, uważani być muszą przez damy za mężczyzn a nawet za złotą młodzież i dorabiają się wąsów i znaczenia w świecie. Tu odbywają oni pierwsze praktyczne ćwiczenia w konwersacji francuskiej i polskiej, w figurach mazurów i w robieniu długów. Oprócz tego narybku męskiego zapelniającego w każdej porze deptaki krynickie, a który jeden z miejscowych bankierów nazwał: *Jugend aus Talmigold*. Pojawiają się jeszcze w Krynicy kuzynkowie, brani często zamiast damy do towarzystwa i do urządzania spacerów, wycieczek, obstalowywania obiadów, noszenia szalów, parasolek i torbeczek. Podobne indywidua nazywają tu kawalerami *od rzeczy* lub *do rzeczy* stosownie do wrodzonych zdolności.

Co się tyczy mężów, to w tych Krynica najmniej obfituje. Że to nie jest dowodem obojętności i zwolnienia węzłów rodzinnych, świadkiem jest pan Radca Rzepski, a raczej jego mokra fularowa chustka, jest to powiedziałbym raczej dowodem wielkiej wiary w cnotę małżeńską, wielkiego zaufania, którego jednak zbyt nadużywać ani na ciężkie próby wystawiać nie należy, jak się to z dalszego ciągu opowiadania pokaże.

A teraz wróćmy się do pana barona.

Zjechawszy na grunt, gdzie mógł założyć fundamenta pod budynek swej przyszłości, pan baron jako doświadczony rutynista chciał najprzód wymiarkować położenie i przy czaiwszy się w hotelu obserwował najprzód, czy domniemany posąg panny Pelagii nie został już przez kogo zaatakowany. Uspokojony w tym względzie począł dalej badać tryb życia tych pań, i przekonał się, że te panie prowadzą życie odosobnione, że nie bywają na żadnych koncertach, ani reunionach, ani w teatrze i jedynym celem ich przechadzek Dytłówka, figura Matki boskiej i kaplica. Były to dość pewne wskazówki zdradzające obecność szlachetnych mineralów, które jednak nie zwracały uwagi innych poszukiwaczy złota. Pan baron postanowił rozpocząć górnicze roboty ostrożnie bez obudzenia czujności współzawodników. Samotny i skromny tryb życia pani radczyni i panny Pelagii nietylko, że mu był na rękę, ale bardziej jeszcze na rękę był jego kieszeni, która wydatków gwarnego i wystawnego życia nie byłaby w stanie długo ponosić.

Należało teraz stosownie do zobserwowanej sytuacji urządzić swoje życie i charakter. Pan baron najął pokój niewystawny ale elegancki, który miał mu dawać rekomendacyę, że lubi konfort ale nie chce robić zbytków. Była to kwalifikacya, według jego mniemania, bardzo dobra na konkurenta panny skromnie i bez zbytków wychowanej. Następnie wydobył z kuferka żółte angielskie paletko, biały cylinder i lornetkę polową. Miały to być niewątpliwe oznaki jego poważnego usposobienia i amatorstwa do samotnych przechadzek i pięknych widoków. Potrzeba było jeszcze postarać się o jaki ciekawy opis podróży, i książkę do nabożeństwa a to ze względu na częste wycieczki tych pań do kaplicy. Pan baron za pomocą książki chciał nastroić się harmonijnie do religijnego tonu wraz z panną Pelagiją. W tym celu wyszedł z domu na poszukiwanie księgarni.

Ale pokazało się, że w całej Krynicy księgarni nie było, a osoby, które pan baron zapytywał o to, patrzyły się na niego z politowaniem i przestachem jak na człowieka dotkniętego chorobą mózgową. Pan baron zmiarkował po oczach tych osób, że jakąś grubą

nedorzeczność popełnił, pytając się o księgarnię, a że na złodzieju czapka gore i pan baron obawiał się, by mu z twarzy nie wyczytano, że myśli za pomocą książki do nabożeństwa starać się o pannę Pelagiją, zaprzestał dalszych poszukiwań i bez książki wrócił do domu. A że następnego dnia chciał się sprezentować tym paniom nie w domu, ale w kaplicy, a do tego pierwszego występu, jeżeli miał odpowiedni efekt zrobić, książka do nabożeństwa była niezbędną; przeto pan baron wiedząc, że nie będzie znowu tak ściśle kontrolowany, zdecydował się wziąć zamiast książki do nabożeństwa słowniczek francuski, nie ubliżający wcale formatem, ani oprawą książkom religijnym.

Tak uzbrojony w powagę i pobożność zjawił się pan baron w kaplicy o godzinie, w której zwykle pani radczyni z panną Pelagiją udawały się na nabożeństwo i tu okiem baczego strategika wyszedziwszy i obrawszy sobie punkt, w którymby jego postawa i pobożność najefektywniej udać się mogły, usiadł i zatopił gorliwie oczy w słowniku francuskim. A że ta postawa nie dość świątobliwą mu się wydawała, więc przeszedł ku ołtarzowi i uklęknął. Tutaj wpatrując się w obraz z westchnieniem, gdy począł rozpamiętywać, że od tej chwili zależy jego przyszłość, szczęście, spłacenie długów, obiady nie na kredyt jadane, tak się rozrzewnił, że klęczenie mu niewystarczało i położył się krzyżem na ziemi zanosząc gorące modły do Pana Zastępów, by go Pelagija nie minęła. Pobożność jego tembardziej wzrastała, gdy pomyślał, że ona w tej chwili patrzy już na niego i zbuduje się jego pobożnością. Obtarł więc spiesznie nos, nurzając się pokornie w pyłe przed Panem zastępów, by się z zakurzonym nosem nie sprezentować swojej bogdance i wstał gotując sobie minę zdziwionego i miłe uradowanego na widok Pelagii. Ale miłe zdziwienie przeszło w bardzo niemile, skoro obróciwszy się nie zobaczył nikogo prócz babki kościelnej, która z kluczami w ręku czekała na wyjście nabożnego gościa.

Niezrażony tem pierwszym niepowodzeniem pan baron postanowił na drugi dzień ponowić eksperyment, a tymczasem przez resztę dnia nie wychylił się z domu, by nie spotkać się z celem swych życzeń, bo z planów jego wypadalo, a może i z wiary zabobonnej, że spotkanie się w kościele będzie wróżbą dobrą i znajomość jego utrwali się przez kościół katolicki, czyli przez ślub.

Następnego więc dnia znowu zjawił się w kaplicy. Tym razem szczęście już na pół mu sprzyjało, spotkał się tam bowiem z panią radczynią. Panna Pelagija dla bólu zębów nie wychodziła tego dnia z domu.

Pani radczyni ujrzawszy w kaplicy barona zadrżała z radości, wzruszenie to przypisywała temu, że widok barona przypominał jej drogiego męża, którego obraz niezatarty piastowała z nieposzlakowaną wiernością w duszy, niespokojnie oczekiwała chwili, w której baron ukończy modlitwy, by go przywitać i zapytać o nowiny z domu, od męża. Baron jednak niesłuchanie długo przewlekał praktyki religijne, czem zniecierpliwiona pani radczyni zdecydowała się na krok, który złe języki mogłyby sobie źle tłumaczyć, a z którego jednak przywiązanie małżeńskie dostatecznie ją w naszych oczach usprawiedliwia i zbliżywszy się na przyzwoity dystans do barona wyszeptala cicho.

— Panie baronie.

Baron przybrał minę, której próbę odbył już dnia poprzedzającego i udając miłe zdziwienie zawołał, jednak bez obrażenia świętości miejsca:

— Pani tu?

Był to frazes przygotowany dla innej sytuacji, a mianowicie na spotkanie obu pań, który do samej pani radczyni nie miał akuratnego zastosowania. Pani Rzepka jednak ciekawa nowin z domu nie uważała wcale na tę niegramatyczność i co prędzej wyprowadziła barona z kaplicy na dwór i tu dopiero zasypała go zapytaniami.

— Ach panie baronie, pan tutaj i dawno?

— Od wczoraj dopiero.

— Od wczoraj już i nie byłeś u nas, niedobry.

— Nie myślałem, że panie — chciał dalej mówić, ale mu niepozwoliła rzucając nowe pytanie:

— I cóż mój mąż? — Mów mi pan o nim. Czy zdrow?

— O! pan radca zdrow jak ryba i wesół — rzekł baron chcąc całkiem uspokoić panią Rzepką.

— Wesół, podczas gdy ja tu schnę i umieram z tęsknoty za nim. O! niegodny! Tu pani radczyni zaniosła się od płaczu.

— Ależ gdzie tam wesół — rzekł poprawiając się baron — owszem ciągle smutny, nie ma apetytu, zmizerniał.

— Zmizerniał? — Biedny, a ja mu pomódz nie mogę, pielęgnować, pocieszać. O, to okropnie — żyć w takim rozłączeniu, tyle mil — on tam biedak może umrzeć a ja nie dowiem się o tem. I znowu wybuchnęła płaczem.

— Ależ dowiedz się pani dobrodziejka, dowiedz się, uspakajał ją baron nie wiedząc co robić, co mówić, by wyjść z tego przykrego położenia, które zaczęło nawet po trochu szkodzić mu w opinii, gdyż przechodzące osoby widząc zanoszącą się od płaczu damę i mężczyznę uspakajającego ją i coś jej mówiącego, wpadali na różne posądzenia, z których każde kompromitowało mocno pana barona. Jeżeli bowiem panią radczynią wezmą za matkę, w takim razie jego uważać muszą za marnotrawnego syna, który tych łez stał się powodem. A jeżeli stosunek ich inaczej wytłomaczą sobie i ta bajka dojdzie do uszów Pelagii. Pan baron drżał na tę myśl. Więc za jaką bądź cenę chciał przerwać tę niemiłą sytuację i silił się na uspokojenie pani radczyni. — Ale napróżno. Widok człowieka, który przyjechał od jej męża, wprawił ją w takie rozczulenie, że się utulić nie mogła. Obcierając nosek rubinową batystową chusteczką łkała głośno i co chwila pytała o coś innego.

— I dawno się pan widziałeś z nim?

— Przedwczoraj.

— Przedwczoraj — o! jakiś pan szczęśliwy. A ja już czwarty dzień nie oglądałam jego drogiego oblicza. — Tu znowu nastąpił płacz, a po płaczu znowu zapytanie:

— I cóż mówił? co polecił panu?

— Nic, bo, tego — jak się nazywa — czasu nie miał.

— O! niedobry — on mnie już nie kocha.

Łkanie znowu takie przybrało rozmiary, że pan baron uważał za stosowne odłożyć dalszą konferencyą na suchszą porę i skomponowawszy na prędce jakiś ważny interes pożegnał panią radczynię.

Na drugi dzień znowu stawił się na nabożeństwie. Tym razem już ostrożniej zbliżał się do kaplicy, niechcąc popaść po raz drugi w ręce pani radczyni i chcąc się upewnić, czy pannie Pelagii ból zębów pozwolił już oddawać się praktykom religijnym. Spostrzegłszy panią radczynię udającą się pracownicę i ciężko jak lokomotywa pod górę, skręcił co prędzej w las. Pani radczyni jednak zauważyła ten manewr i w przyszłym rozdziale zobaczymy jak sobie go wytłumaczyła.

Przez parę jeszcze dni powtórzyła się podobna scena wzajemnego obserwowania się i unikania a panny Pelagii jak nie było tak nie było. Pan baron nie zrażał się tem. W czasie tyloletniej kampanii kawalerskiej nie raz mu się zdarzało, że panny unikały go, nie szukając nawet do tego pretekstu w bólu zębów, lub głowy. Nie mogąc jednak doczekać się panny w kościele postanowił w domu złożyć jej uszanowanie. Ale i tej pociechy odmówił mu los nielitościwy, gdyż panna Pelagia z powodu niezbyt powabnego zdefigurowania twarzy przez fluksyę była niewidzialną i sama tylko radczyni przyjęła barona. Rozmowa toczyła się naturalnie znowu o ukochanym małżonku i pani radczyni przez przeciąg pół godziny powtórzyła to imię: mąż — przez wszystkie przypadki i liczby.

Wśród tej konwersacyi nadszedł ksiądz opat, którego ze względu na suknię duchowną dopuszczono do spuchniętej pacjentki. Ta preferencyja wcale niegniewała pana barona; owszem to go przekonało, że panna Pelagija boi się w jego oczach wydać mniej ładną i jest w pretensjach względem niego, a tem samem uważa go za starającego się. To mu pochlebiało bardzo. A oprócz tego wizyta księdza opata u panny Pelagii poddała mu pewną genialną myśl delikatnego zdradzenia się ze swoim uczuciem; a to w ten sposób, że nazajutrz stawił się w mieszkaniu księdza opata i ofiarował mu parę guldenów z prośbą o odprawienie mszy św. na intencyą powrotu do zdrowia drogiej mu osoby. Pan baron był przekonany, że choćby intencya ta nie doszła do Pana Boga, to w każdym razie doniesie się do panny Pelagii za pośrednictwem księdza opata, o co mu też głównie chodziło.

Ksiądz opat zbudowany był dwoma guldenami a raczej religijnością barona, chwalił go bardzo i dodał, że łaska boska i błogosławieństwo boskie nie minie tego, kto w ten sposób zachowuje religię ojców swoich. Baron z rozrzewnieniem słuchał tej mowy, zdawało mu się, że to już jest przedślubna mowa błogosławiąca jego związek z Pelagiją i omal nie wyrwał się ze słowami: tak mi Panie Boże dopomóż.

Szlachetny i religijny czyn barona nie został długo w tajemnicy, dowiedziała się o nim nie tylko panna Pelagija, pani radczyni, ale i inne panie pobożne i kilku ich wiernych satellitów z zakonu św. Kapucyna czy coś podobnego. Wszędzie stawiano go za przykład młodzieży, wezwano do nabożeństw majowych i zaszczycono go nawet przywilejem głośnego intonowania litanii. Biedny baron wciągnięty przez miłość w sam wir religijnego życia kilku księży i bogobojnych pań — uwijał się tam jak mógł i umiał. A umiał bardzo niewiele, bo religia nie należała do specjalności i na tym polu pokazywał grubą niewiedomość i nieraz porządne bąki strzelał. Niewiedział naprzykład co to nowenna, co antyfony, godzinki, nie umiał na pamięć litanii do wszystkich świętych, raz przy odmawianiu dziesięcioro boskich przykazań, pomylił się tak mocno w okolicach szóstego i siódmego przykazania, że go aż pani Cezarowa poprawiać musiała. Mimo to przebaczone mu te błędy, które kładzono na karb bezbożnego wychowania w dziewiętnastym wieku — przebaczano mu ze względu na gorliwość, jaką okazywał dla spraw religijnych i wpisano go do kilku towarzystw celem istniejszego ugruntowania go w wierze. W taki sposób baronek ani się opatrzył jak za pośrednictwem miłości stał się naraz członkiem bractwa różańcowego, skaplerznego, asekuracji dóbr duchownych, zelantów apostołskich, propagandy krzyżowej etc. Podpisywał adresy do Ojca św. do księdza Halki Leduchowskiego, musiał zaprenumerować najnowsze dzieło o skuteczności wody święconej, a nawet przyjąć na siebie odpowiedzialność za jakiś artykuł religijno-polemiczny umieszczony w *Czasie*. W przeciągu niespełna trzech tygodni nasz baron stał się ultramontanem najczystszej wody, najgorliwszym apostołem i nawet miał obiecany za pośrednictwem księżnej odpust zupełny dla siebie i całej rodziny swojej aż do siódmego pokolenia. Rozumie się, że pokolenia te wyprowadzał pan baron w myśli w prostej linii od najdroższej Pelci, która po rozstaniu się z fluksyją coraz częściej znajdowała się w jego towarzystwie, w kościele, na spacerach, na religijnych zebraniach, a nawet raz miał to szczęście kwestować z nią społem na kościół w Paragwaju czy w Peru. Zdarzyło się wtedy, że wchodząc z nią społem do jednego domu był przez gospodarza w skutek pomyłki i nieporozumienia uważany za męża Pelagii. Ta pomyłka uniosła by go była w siódme niebo, gdyby świeżo rozbudzony katolicyzm jego nie zabraniał mu wierzyć w siedem nieb i nie nakazywał wierzyć tylko w jedno, do którego on i Pelagija dostaną się kiedyś po najdłuższym życiu. Szczęście barona nie miało granic. Na skrzydłach religii i miłości dusza jego ulatywała w górę, co było jej tem łatwiej, że znacznie już wypróżniona portmonetka nie obciążała wcale w tym razie pana barona.

Ze względu na tę ostatnią okoliczność t. j. na portmonetkę, baron postanowił przystąpić do stanowczego kroku i wyraźniej dać poznać pannie Pelagii uczucia swoje. Dotąd bowiem przez wrodzony takt i przyzwoitość więcej zasługiwał się pani radczyni, jak pannie Pelagii; więcej z tamtą rozmawiał i chodził. Wypadało to z regulaminu przyjętego przez pana barona w epokach, w których starał się o panny ciche i skromne. Zabezpieczwszy sobie w ten sposób względy pani radczyni, i zyskawszy jej przychyłność więcej może niż to stało w programie jego, jak się to pokaże w następnym rozdziale. Pan baron Rumpell postanowił wystąpić jawnie w roli starającego się i oświadczyć się wprost o rękę panny Pelagii. W tym celu wyjął z kufierka pomięty frak, który już tylokrotnie towarzyszył baronowi do podobnych oficjalnych występów i posłał go do odprasowania. Ale nim frak miał czas wrócić od krawca na dostojne barki barona, dowiedział się tenże z przerażeniem, że panna Pelagija postanowiła wstąpić do klasztoru.

Ksiądz opat udzielił mu tej wiadomości w czasie spaceru. Pan baron stanął jak wryty, spojrzął na księdza ogłupiałym wzrokiem i zawołał:

— Ależ to niepodobna.

— I nam się to niepodobnem wydawało, bo panna Pelagija jest zbyt żywego i wesołego usposobienia, abyśmy mogli byli przypuszczać, że poważny stan duchowny będzie dla niej odpowiedni. Tymczasem pokazało się, że pod tą lekką powłoką światową tkwiły poważne instynkta religijne, które upomniały się o swoje prawa i panna Pelagija oświadczyła, że to jest jej niezłomne postanowienie.

— Ale ksiądz, jako jej spowiednik, powinienes jej to odradzić, wyperswadować, żeby nierobiła takiego głupstwa.

— Baronie Pan Bóg z tobą — odezwał się opat zgorzony tą bezbożną mową — jakto — ty — ty, który jesteś wzorem świętobliwości nazywasz głupstwem święte powołanie do stanu zakonnego.

Ale baron popadłszy już raz w herezyą niepoprawił się i brnął dalej!

— To są niegodziwe intrygi — zawołał.

— Czyje intrygi, jakie intrygi.

— Wasze — wasze — was popów szarlatanów, którzy wszędzie własny interes macie tylko na widoku, wybuchnął z oburzeniem baron i zostawiwszy zdumionego opata, który był najpewniejszy, że baron zwaryjował, poleciał wprost do pani radczyni.

Pani radczyni nie zastał w domu, wyjechała z panną Pelagiją i dwiema zakonnicami na parę dni do Żegiestowa. To utwierdziło barona w podejrzeniu, że panna Pelagija stała się ofiarą księżych knozań, z których przez miłość, jaką miał dla niej, przez pamięć na swoje długi i portmonetkę, postanowił ją wyrwać. A najprzód należało całą tę sprawę odkryć światu i poddać pod sąd opinii publicznej.

Opinia publiczna reprezentowana przez jednego z korespondentów dziennikarskich, miała stałą siedzibę w restauracji pod Barankiem, gdzie w chwilach wolnych od pisania zajmowała się specjalnie kartami i bilardem. Opinią tę znał był baron dawniej osobiście; ale ze względu na socjalną pozycję, jaką zajął w Krynicy w kongregacji pobożnych pań, baron unikał tej znajomości, bojąc się nią skompromitować, gdyż wyżej wyrażona opinia publiczna używała złej opinii w tych kółkach, nie tyle z powodu specjalnego uprawiania kart, bilardu, ile w skutek antireligijnych dążeń objawianych w korespondencych.

W ramiona to tej opinii rzuciła barona dzisiaj nieszczęśliwa miłość. Odstępstwo od obozu klerikalnego odbyło się bez wszelkich namysłów — pan baron bowiem nie należał do ludzi, którzyby zasady pojmovali na seryo i przywiązywali do nich jaką wagę. Zasad używał baron jako rękawiczek dla przyzwoitości, stosownie do czasu i miejsca i okoliczności. A że fioletowe rękawiczki go zawiodły, więc bez namysłu włożył czerwone ultrademokratyczne i postępowe i oddał się całej demokracji z warunkiem, by mu ta pomogła do odzyskania najdroższych nadziei jego.

Przy kolacyjce i butelce wina złożył pan baron w ręce korespondenta powalane atramentem swoje losy i wyznanie zasad demokratycznych — a w kilka dni potem w jednym z dzienników krajowych przerażeni goście kąpielowi czytali następującą wiadomość:

Jeszcze jedna ofiara machinacji jezuickich. Czarny internacjonal rozszerzając coraz dalej pajęczę sidła swoje i u nas tutaj (u nas miało znaczyć w Krynicy) sięgnął po swoją ofiarę. W skutek namowy tego stowarzyszenia bogata dziedziczka, będąca już prawie zaręczoną z młodzieńcem szlachetnego rodu, pełnym zacnych przymiotów i dystynkcji — postanowiła wstąpić do klasztoru. W imieniu prawdy dajemy tu głos oburzeniu naszemu — pewni będąc, że familia uwiedzionej ofiary przejrzawszy jasno niegodne tendencje tej propagandy religijnej, wpłynię rozsądnymi radami swemi na młodą i niedoświadczoną istotę i odwiedzie ją od powziętego zamiaru, który doprowadzony do skutku, stałby się przyczyną strasznych cierpień nieszczęśliwego młodzieńca.

Spragnioną nowinek i plotek publiczność kąpielową artykuł ten zelektryzował i wzruszył. Szukano, badano, domyślano się, która to jest ta czuła para, którą intrygi jezuickie rozerwać usiłowały. Podejrzowano każdą młodą panienkę o zamiar wstąpienia do klasztoru, na każdej zamysłonej twarzyczce czytano rotę ślubów zakonnych, przestraszeni narzeczeni biegli co prędzej do swoich najdroższych i żądali powtórzenia przysięg miłosnych, wymagali nieledwie aktów notaryalnych i rewersów dla tem większego ubezpieczenia się. Tylko panny Pelagii i pana barona nikt nie podejrzewał. Nikt bowiem panny Pelagii w Krynicy (rozumie się oprócz barona) za posażną dziedziczkę i do tego niedoświadczoną nie uważał, — no, a barona nawet najbujniejsza fantazja nie mogła sobie wyobrazić jako młodzieńca. Ale co najciekawsze, że sama panna Pelagija głowę sobie łamała nad wyszukaniem owej bogatej dziedziczki, która wraz z nią mimo wiedzy zesła się z myślą wstąpienia do klasztoru. Pytano się księdza opata, jako spowiednika, a więc głównego depozytora wszystkich sekretów pańskich; a ksiądz opat kłął się na wszystkie świętości,

że nic nie wie. Nieprzypuszczał bowiem, że tu szło o pannę Pelagiję i barona, niepodejrzywał nawet tego ostatniego, pomimo rozmowy, jaką miał z nim niedawno, o umacnianie rąk w tej sprawie i fabrykacją artykułu, i niktby go nawet nie był posądził o odstąpienie od katolickich zasad, gdyby baron sam nie był się publicznie afszował ze swoim niedowiarstwem, nie był opuszczał ostentacyjnych nabożeństw i wygadywał niestworzone rzeczy na księży i wszystkie kongregacje katolickie, nazywając je szarlataństwem, komedją i eksploatacją łatwowiernych ludzi.

Ze zdumieniem i zgrozą dowiedziała się pani Cezarowa o tej naglej a nie spodziewanej zmianie najgorliwszego wyznawcy, a że miała słabość do barona, nie tyle jako do człowieka, ile do barona i katolika, przeto dbając o jego nawrócenie i opamiętanie, zakupiła na tę intencję u księdza opata mszę świętą, na którą zaproszono wszystkich wiernych, niewyluczając panny Pelagii i pani radczyni.

Ta ostatnia pokazała się szczególnie zaniepokojoną o duszne zbawienie barona: modliła się i oczami i wargami i wszystkimi niemal częściami ciała, ofiarując się pościć, a nawet suszyć na intencję nawrócenia biednego barona. Dlaczego zaś pani radczyni tak bardzo chodziło o nawrócenie barona, dowiemy się z następującego rozdziału.

IV. SKRYTE POKUSY, NA JAKIE NARAŻONĄ BYŁA WIERNOŚĆ MAŁŻEŃSKA PANI RADCZYNI RZEPSKIEJ

Szanowne czytelniczki zechcą przypomnieć sobie z poprzedniego rozdziału, że baron przyjechawszy do Krynicy w intencjach małżeńskich, spotkał się był najprzód w kaplicy z panią radczynią, a następnie drugiego dnia, lubo po za kaplicą, ale także z panią radczynią; a trzeciego dnia znowu z panią radczynią; a choć ujrawszy ją z daleka cofał się dyplomatycznie w krzaki, jednak pani radczyni, która o małżeńskich intencjach pana barona nic a nic nie wiedziała, — mimowoli musiała to nagle jego pojawienie się w Krynicy, a następnie nieśmiało rejterowanie w krzaki wytłumaczyć sobie w sposób praktykowany w starych romansach, któremi pani radczyni w młodości obficie karmiła panieńską wyobraźnię swoją. Otóż patrząc przez pryzmat starych romansów na postępowanie barona, pani radczyni przysłała na domysł, który z czasem zamienił się w pewność, że nagłony popędami tajemnej ku niej skłonności, pan baron przyjechał tutaj korzystając z nieobecności pana radcy.

Przypuszczenie to z początku ją oburzało, potem przestraszyło, a następnie oswoiła się z niem, a nawet myślenie o tem sprawiało jej pewną przyjemność. Na usprawiedliwienie pani radczyni zwrócić tu muszę uwagę szanownych pań na tę okoliczność, że to pierwszy raz w życiu nadarzała się pani radczyni sposobność doświadczenia romansowych przygód, więc jeżeli nic innego, to prosta ciekawość kusila ją zajrzeć do tego zaczarowanego kraju miłosnych szeptów, wyznań i przysiąg. Było to pragnienie rozbudzone jeszcze w czasie jej dziewczęstwa, a którego prozaiczny pan radca zaspokoić nie umiał dotąd. Pan radca umiał zaledwie oświadczyć się i ożenić. Było prawda w swoim rodzaju heroizm, na który nie każdy kawaler byłby się zdobył i pani radczyni musiała to ocenić; ale gdy nadarzyła się jej tak niespodziewanie sposobność zaspokojenia pragnień romansowych, pani radczyni nie miała siły oprzeć się temu urokowi i jak powiedzieliśmy, weszła drżącą nogą do tej zaczarowanej krainy miłości, zostawiwszy za drzwiami wierność małżeńską, jak doróżkę, do której wrócić za jakiś czas postanowiła. Dla większego zaś bezpieczeństwa brała ze sobą na te romansowe wycieczki jako assekurację przeciw niebezpieczeństwu, wspomnienie męża, i na spacerach po lesie i po polach, oparta na ramieniu barona, który jak wiadomo, w ten sposób chciał zasługiwać się radczyni na rzecz panny Pelagii i przyszłego małżeństwa swego, rozmawiała z nim wciąż o swoim mężu, o swoim drogim mężu, o swoim ukochanym mężu, o swoim do niego przywiązaniu, o sile swej miłości.

Ale widząc, że barona, nawet ta idealna obecność małżonka, czyni nieśmiałym do wynurzenia jej choćby w przybliżeniu, choćby allegoryą uczuć swoich, odłożyła wspomnienie męża na czas późniejszy i zamiast o mężu, mówiła mu o marzeniach swojej młodości, o swoich ideałach, nadziejach nieziszczonych, z wyraźną intencją, aby baron poczuł się do obowiązku ziszczenia tych nadziei.

Ale baron ani na krok niepostąpił i z romansem swoim był jeszcze wciąż na pierwszym rozdziale.

Ta obojętność poczęła już roznamiętniać panią radczynię. Ona, co wprzódy gotowała się do walki z pokusami miłości, która wychodząc w las na spacer z baronem, gdzie się spodziewała wyznań jego miłości, brała zawsze ze sobą znaczny zapas frazesów o obowiązkach kobiety i żony; teraz ośmielona coraz więcej nieśmiałością barona, rozgrzana jego chłodem, odrzuciła cały ten zapas frazesów, patetycznych wykrzykników jako niepotrzebny balast i z pełnemi żaglami pędziła na oślep do usuwającej się przed nią bramy westchnień i gruchań i już dość wyraźnie dawała poznać baronowi, że gdyby się odważył, mógłby mieć nadzieję.

Ale baron i teraz nie dorozumiewał się niczego, czy też bał się dorozumieć i romans pani radczyni od pierwszego rozdziału ani o jedną kartkę naprzód nie postąpił, przynajmniej ze strony barona, bo co się tyczy pani radczyni, to u niej miłość nie szła, ale galopowała i na każdym kroku zdradzała się była z tem uczuciem, gdyby nie to, że ugruntowana opinia cnotliwej małżonki, a bardziej jeszcze wiek i zewnętrzność pani radczyni, nawet u najpodejrzliwszych ludzi odganiał nawet wszelki cień podejrzenia. Dzięki temu nawet panna Pelagija niedomyślała się tych uczuć, jakie motowały łono pani radczyni, choć z niem dość wyraźnie się zdradzała. I tak ile razy baron nie zjawił się na czas na spacerze, pani radczyni niepokoiła się, czy nie chory, czy nie wyjechał, przystawała, oglądała się i z niepokojem wyczekiwała jego przybycia. Często nawet rozpoczynała o nim rozmowę z Pelagiją, chwaliła jego serce, przymioty, ułożenie — słowem pani radczyni zachorowała niebezpiecznie na barona; — a choroba była tem niebezpieczniejszą, że baron ani myślał o lekarstwie dla nieszczęśliwej pacjentki. Biedna, napróżno wyczekiwała od niego jednego słowa pociechy, wyznania.

Aż raz baron, gdy się tego najmniej spodziewała, prosił ją o chwilę samotnej rozmowy, w której chciał się jej zwierzyć z ważną tajemnicą swego serca. Miało to być, jak wiemy, oświadczenie się o pannę Pelagiją. Radczyni jednak ani przypuszczała coś podobnego i pewną była, że to będzie wyznanie miłości. Z trwogą i rozkoszą oczekiwała tej chwili, w której trzeba się było rozstawać, z tak długo pielęgowaną wiernością małżeńską i choć *idealnie* sprzeniewierzyć się najdroższemu małżonkowi.

Robię tu wyraźny nacisk na przysłówek *idealnie*, niechcąc zostawić na tym punkcie w wątpliwości osoby skłonne do podejrzeń i plotek, i bojąc się ściągnąć na ten niewinny romans pani radczyni zarzut niemoralności. Owszem, pani radczyni była do tego stopnia wysoko moralną, że nawet na to idealne sprzeniewierzenie się tyloletnim zasadom swoim nie mogła się zdecydować bez walk wewnętrznych. W tym celu od dnia, w którym pan baron oświadczył chęć odbycia tajnej konferencji, aż do dnia, w którym takowa odbyć się miała tj. do śtej. Agrypiny, przypadającej 23 czerwca — pani radczyni odbywała codziennie ćwiczenia w tym względzie, układała, stylizowała i przerabiała frazesy, któremi bronić się miała przed natarczywą miłością barona, odbyła kilka prób głośno z odpowiedniami ruchami i deklamacją; — słowem przygotowywała się z całą sumiennością do tego niesumiennego aktu. Gdy naraz usłyszała o apostazji barona. Był to nowy cios dla niej, nowy skrupuł dla sumienia, nowy powód do walki wewnętrznej. Pani radczyni bowiem pomimo ciągłych ćwiczeń w oporze i obojętności, zdecydowała się w głębi duszy uleść kuszącym namowom barona, ale miała zamiar uleść baronowi katolikowi. Herezya barona zmieniała zupełnie sytuację, sumienie jej na ten przypadek nie było przygotowane, nie miało jeszcze stanowczej decyzji, a tu do decyzji mało zostawało czasu, gdyż właśnie w dniu, w którym pani Cezarowa zakupiła mszę śtą na intencję barona, miało nastąpić to *rendez-vous*, pierwsze *rendez-vous* w życiu pani radczyni. Ztąd pochodził ten niepokój jej w kościele, nie mogła się zdecydować, czy może niepokalane uczucia swojej młodości oddać na łup heretyka.

Dopiero przemówienie księdza opata, który zachęcał panie do nawrócenia zbłąkanej owcy wszelkimi możliwymi sposobami, uspokoiło całkiem sumienie pani radczyni. *Rendez-vous* z baronem było już teraz nie tylko rzeczą dozwoloną, ale było koniecznością, bo było zarazem missją religijną. Obok zadowolenia własnych pragnień, pani radczyni miała cel wielki, święty — nawrócenie grzesznika.

Dla skuteczniejszego spełnienia swej missyi, pani Rzepka za powrotem do domu, dopuściła się niewinnego przestępstwa tj.: wyblanszowania niezbyt bladego z natury oblicza swego, skropiła bujny biust swój, na którym mogła w razie pomyślnego obrotu

rzeczy, spocząc głowa barona, wonnemi olejkami, przyczerniła lekko przeredzone brwi. Była to niewinna kokieteria, którą usprawiedliwiał cel świątobliwy.

Tak przygotowana usiadła na kanapie i z bijącym sercem oczekiwała naznaczonej godziny. Wcześniej, niż się spodziewała, dało się słyszeć na schodach stąpanie, pani radczyni podniosła się z kanapy, wzruszona, drżąca i postąpiła parę kroków ku drzwiom, które z łoskotem się otwarły i ukazała się w nich postać pana radcy.

Pani radczyni tak nie była przygotowaną na to *qui pro quo*, że zobaczywszy najdroższego małżonka — wydała krzyk okropny i zemdlona upadła z łoskotem na podłogę.

Pan radca, który przez całą drogę układał twarz do wdzięcznego uśmiechu na powitanie żony, przerażony tym jej upadkiem, odrzucił na bok i uśmiech i torbę podrózną a skoczył do żony, krzycząc, co sił starczyło:

— Ratujcie, moja żona — upadła — chciałem powiedzieć — nie żyje.

Nadbiegła panna Pelagija.

— Co się tu stało? — spytała.

— Co się stało? Patrz! moja żona z radości na mój widok umarła. O ja nieszczęśliwy. Czyż mogłem przypuścić, że miłość jej niewytrzyma tej niespodzianki. Biegnijcie po doktora — po księdza.

Nim ktokolwiek zdecydował się skoczyć po doktora lub księdza, zrozpaczony małżonek zobaczywszy dzban wody przy drzwiach, skoczył co prędzej, chwycił go i jednym zamachem wylał strumień wody na pomalowane oblicze swej połowicy, — kąpiel skutkowałą i pani radczyni otworzyła oczy. Ujrzawszy nad sobą twarz męża z rozczochranemi włosami wzdrygnęła się i przymrużywszy znów powieki, wyszeptała drżącymi ustami:

— Przebacz! to był pierwszy mój upadek.

— Taki upadek zaszczyt ci tylko przynieść może, bo to był upadek z miłości dla mnie — o zacna niewiasto, czcigodna małżonko, droga połowico moja! — jęczał radca całując ręce żony i oblewając je obficie łzami. Pani radczyni uściśnęła rękę jego z wdzięcznością i szepnęła z westchnieniem:

— Nieba nie pozwoliły mi upaść.

— Ale ja osioł, zem na to pozwolił, trzeba było cię przytrzymać, nie byłabyś narażona na stłuczenie. Czy czujesz gdzie ból aniele?

Pani radczyni, po dokładnem opatrzeniu się, oświadczyła, że upadek jej był bez uszkodzenia, co pana radcę wielce ucieszyło. Z pomocą Pelagii dźwignął drogi ciężar z ziemi i poprowadził na sofę. Tu powtórzyła się scena przywiązania małżeńskiego, wylewano łzy, uczucia, powtarzano sobie przysięgi wierności, przywiązania, opowiadano o wzajemnej tęsknocie i niepokojach. Pani radczyni spowiedź była mniej dokładna, cały bowiem epizod o baronie został pominięty.

Panna Pelagija, uważając się za zbytecznego świadka tej sceny małżeńskiej, częścią przez dyskrecyę, a częścią przez skromność dziewiczą, chciała się usunąć do swego pokoju, ale radca ją zatrzymał i rzekł:

— Proszę cię — zostań. Mam wam coś powiedzieć, co was obydwie nadzwyczaj zadziwi.

Pannę Pelagiję słowa te zatrzymały, wróciła i usiadła przy radczyni. Pan radca ochłonawszy z pierwszych objawów czułości — wstał już spokojniejszy nieco i rzekł:

— Czy wiecie, kogo tutaj spotkałem?

Tu zrobił małą pauzę dla zrobienia większego efektu, spojrzął na żonę i na Pelagiję, a potem rzekł powoli, z naciskiem:

— Barona Rumpell.

Radczyni o mało znowu nie zemdląła.

— I to miała być niespodzianka? — spytała Pelagija ruszając ramionami. — A toż on, jak cień łązi tu za nami. Czy ciocia nic o tem wujowi nie pisała?

Pani radczyni byłaby się okrutnie zarumieniła, gdyby jej blansz nie był przeszkodził w tym względzie.

— Więc chodził z wami i nic nie wiecie?

— O czem?

— Że baron zakochany, jak kot.

— Nie wierz mu! to potwarz! — zawołała radczyni z pośpiechem.

— Jakto potwarz? — sam mi wyznał, że się kocha i chce się żenić.

— Z kim? — spytała Pelagija.
 — No z tobą, — juści nie z moją żoną.
 Pelagia parsknęła głośnym śmiechem — radczyni odetchnęła.
 — Zaczny młodzian — pomyślała sobie — poświęca się, aby mnie ocalić. Co za charakter. Moim obowiązkiem ocalić go od tej ostateczności.
 — Ty nie możesz, ty nie powinnaś iść za niego — odezwała się patetycznie do Pelagii — on cię nie kocha. On udaje tylko.
 — I mnie się tak zdawało — odrzekł radca — że on spodziewał się u ciebie jakichś pieniędzy i dlatego powiedziałem mu wręcz, że jesteś bez majątku.
 — I cóż na to poczciwy baronek? — spytała Pelagija wesoło — zląkł się i cofnął?
 — Otóż widzisz, że nie. Powiedział mi, za cóż mię to masz radco? Czyż sądzisz, że byłbym zdolny poświęcić wolność dla mamony? Ja kocham pannę Pelagiją dla jej przymiotów, cnót.
 — On to wszystko mówił wujaszku?
 — Jak Boga kocham, tak słowo w słowo mówił to samo, a potem dodał, gdym mu perswadował, że ty nie masz nic i on nic: czy sądzisz radco, że nie potrafię pracować?
 — Baron — pracować! Umrę ze śmiechu.
 — Ja znowu nie widzę w tem nic tak śmiesznego moja kochana — odezwał się poważnie radca zgorzony śmiechem Pelagii.
 — I ty się będziesz śmiał wujaszku, skoro ci pokażę list od babki, w którym mi pisze, że pan baron dowiadywał się już przez trzecią osobę o mój posag.
 — Zkądże to babka może wiedzieć?
 — Owa trzecia osoba musiała wygadać przed czwartą, ta przed piątą itd. — to dosyć jasne.
 — A ja powiadam, że to bajka. Baron nie taki głupi, żeby się oświadczał naślepo, jeżeli jak mówisz, szuka majątku.
 — A on chce się oświadczyć?
 — Tak i to dziś jeszcze. To cię powinno przekonać, żeś nie powinna tak źle o ludziach sądzić z pierwszego pozoru.
 — Więc czekajmy drugiego pozoru.
 — Dobrze, czekajmy.

I w istocie czekano tego dnia, wstrzymano się nawet od spaceru na tę intencją; czekano nawet następnego dnia, ale baron ani następnego, ani w dniach, które potem jeszcze nastąpiły, nie pokazał się wcale, a to z tego powodu, że odebrawszy od swego znajomego z Kaliskiego list, w którym ten mu doniósł, że po bliższem i szczegółowem zbadaniu pokazało się, iż panna Pelagija nie ma nic — drapnął w sekrecie z Krynicy, zapomniawszy w pośpiechu uiścić się z długu zaciągniętego w restauracyi. Zapomnienie to, jak się pokazało, było bardzo na rękę naszemu baronowi, gdyż choćby nawet był sobie przypomniął, i tak zapłacićby nie mógł, bo to, co zostało w portmonetce, wystarczyło ledwie na najskromniejsze koszta podróży do domu.

Ten niespodziewany wyjazd zmartwił trochę poczciwego radcę, który już zaczął był wierzyć w bezinteresowną miłość barona. Panna Pelagija tryumfowała i śmiała się serdecznie z tej rejterady swego jedyne go konkurenta, tylko pani radczyni zachowywała w tym względzie poważne milczenie, gdyż była najmocniej przekonana, że jedynie przyjazd radcy skłonił barona do tajemniczego wyjazdu.

— Tak być musiało — mówiła sobie — on nie mógł zrobić inaczej dla ocalenia siebie i mnie. Mój honor i jego spokój wymagały tego.

A kiedy raz radca, nie mogąc powściągnąć swego oburzenia z powodu ucieczki barona, wyraził się dość nieprzyzwoicie o nim, pani radczyni rzekła ze znaczeniem:

— Nerozsądny! nie wiesz sam, co mówisz. Powinieneś dziękować Bogu, że się tak stało.

1873.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/polowanie-na-zone>

Tekst opracowany na podstawie: Michał Bałucki, *Polowanie na żonę*. Szkic do komedyi przez Niemichała Niebałuckiego, W drukarni L. Paszkowskiego pod zarządem J. Łakocińskiego, Kraków, 1874.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0055-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.